

**DARKNET**



URSULA POZNANSKI • ARNO STROBEL

# DARKNET

Przełożyli  
Anna i Miłosz Urbanowie

MANDO 

Originally published under the title *ANONYM*

© 2016 by Rowohlt Verlag GmbH, Reinbek bei Hamburg, Germany  
Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Katarzyna Onderka

Korekta: Natalia Szumska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Kundra/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2074-0

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk: GRAFARTI • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g vol. 2.0  
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Jak dym za ogniem rozbój się pomyka.

(William Shakespeare, *Perykles*,  
przekład Leon Ulrich)



# Prolog

Rzucają go na ziemię i wszystko z niego zdzierają. Wyposażenie, mundur, bieliznę. Biją go i kopią. Stara się zasłonić twarz i genitalia, kuli się i obejmuje ramionami głowę.

Jest ich dwudziestu, może trzydziestu. Mają na sobie luźne szaty, wielu nosi na nich pasy z amunicją. Ansar Dine.

Zaatakowali ich na patrolu, w jakiejś dziurze w północnym Mali, niedaleko miasta Azawad, przez które przejeżdżał jeepem z dwoma towarzyszami. Serge i Ralf zginęli od kul, on został pobity kolbami i zawleczony na skraj wioski.

Wrzeszcząc, krępują mu ręce z przodu i brutalnie ciskają na ścianę jednego z domów. Kuca, oparty o nią plecami. Przedramiona opiera na nagich udach.

Podchodzi jeden z napastników i pokazuje mu granat ręczny. Od razu rozpoznaje model. Amerykański M67. Skuteczny w promieniu piętnastu metrów, w promieniu pięciu – śmiertelny. Zdobyty przez tych fanatycznych skurwysynów w czasie jakiegoś napadu albo kupy na czarnym rynku od kogoś, kto popiera ich działalność.

Mężczyzna wypluwa niezrozumiałe słowa w języku Tuaregów. Wyjmuje zawleczkę i rzuca ją niedbale na ziemię. Potem bierze szybki zamach i kopie go niespodziewanie w pierś tak mocno, że boleśnie uderza plecami o ścianę. Gdyby jej tam nie było, padłby na ziemię. Zanim udaje mu się podnieść i znów przykucnąć, gość w luźnej szacie wciska granat między mur a jego plecy, na wysokości łopatek. Dźwignia spustowa kłuje go w skórę.

Gdzieś niedaleko rozlegają się kolejne krzyki. Wysoki, histeryczny głos. Mężczyźni nie kryją pogardy. Patrzą na niego po raz ostatni i odwracają się.

Skupia się na tym, by cały czas z taką samą siłą przyciskać granat do ściany. Jeśli pozwoli mu spaść albo choćby przekręcić się na tyle, by zwolnić dźwignię spustową, będzie po wszystkim. Zostaną mu tylko trzy sekundy do detonacji. A to za mało, by zerwać się z tej pozycji i uciec na bezpieczną odległość.

Krzyki przybierają na sile. Z bocznej uliczki wyłania się dwóch bojówkarzy Ansar Dine. Ciągną za sobą jakąś kobietę. Nie, to nie jest kobieta. Z tej odległości nie widzi dokładnie, ale... ma najwyżej piętnaście lat. Jest ubrana na zachodnią modłę, a twarz zasłaniają jej splątane czarne włosy.

Zatrzymują się kawałek od niego i rzucają dziewczynę na ziemię. Kuli się, tak samo jak on wcześniej. Mężczyźni wrzeszczą na nią, a potem zrywają z niej ubranie. Kolejny bojownik przynosi burkę. Siłą zakładają ją pojmanej dziewczynie, wiążą jej ręce i ciągną w stronę pierwszego więźnia. Kiedy są blisko, słyszy jej cichy płacz. Wie, że to panika i strach przed tym, co nieuniknione.

Kilka minut później dziewczyna znajduje się w takiej samej pozycji jak on, plecami oparta o mur.

Bojownicy stoją zbici w grupkę i przyglądają się jej przez chwilę. W końcu odwracają się i znikają za rogiem. Dwójka, która została, siada na ziemi, w cieniu jednego z domów pięćdziesiąt metrów do nich.

Zastanawia się, jak długo dziewczyna obok da radę. Dwie godziny, może trzy. Pod warunkiem, że ma silną wolę i jest wytrzymała fizycznie.

Niemal bez przerwy przemawia do niego płaczącym, błagalnym tonem. Mówi po francusku, a mimo to nie może zrozumieć ani jednego słowa. Patrzy na nią i mówi, żeby zamilkła i oszczędzała siły. Ona jednak mówi dalej. I dalej płacze.



Cierpną mu nogi. Pół godziny później zachodzi słońce. Minuty dzielą ich od zapadającej ciemności. Wieczór w tym cholernym kraju praktycznie nie istnieje.

Pojawiają się jacyś ludzie. Miejscowi. Zatrzymują się, patrzą, spuszczają wzrok i odchodzą szybkim krokiem, ledwie zauważają uzbrojonych bojowników kawałek dalej.

Dziewczyna nie wytrzymała trzech godzin. Nie daje rady nawet dwóch.

Detonacja niemal pozbawia go przytomności i wypełnia jego ciało bólem. Coś przyska na jego twarz. Coś ciepłego i mokrego. Kosztem nadludzkiego wysiłku udaje mu się zachować skupienie i nie stracić równowagi. Dopiero kiedy słyszy głosy innych bojowników, zaczyna rozumieć, co się stało. Dookoła wałają się dymiące strzepy burki. Między nimi leżą pourywane kończyny i zmasakrowane kawałki młodego ciała.

Obraz znika. Wszystko znika.

Otwiera oczy i wpatruje się w sufit. To nie jest powolny powrót z koszmaru do rzeczywistości, lecz gwałtowne przebudzenie się ze snu. Jak włączenie lampy.

Przez chwilę wraca myślami do tamtego koszmaru i po raz setny przeżywa to samo. Afganistan, Kosowo, Mali. Dopiero dwanaście godzin później pojawił się konwój armii francuskiej. Żołnierze przepędzili bojowników Ansar Dine i pomogli mu się uwolnić. Dwanaście godzin, podczas których te skurwysyny nie spuszczały go z oczu, czekając, aż opuszczą go siły i wykona niewłaściwy ruch. On trwał tymczasem jak skamieniały, jego ciało wypełniał ból, a na twarzy zasychały szczątki rozerwanej wybuchem dziewczyny. W głowie miał tylko jedną myśl: nie dać tym czubkom satysfakcji.

Siada i czuje, że wraca do rzeczywistości. Nadchodzący dzień będzie wymagał od niego pełnego skupienia.

Sen nie pozostawia w nim wzburzenia ani żadnych innych emocji.

Wtedy, tak samo jak teraz, w jego wnętrzu panowała kompletna pustka. Bardzo użyteczna pustka. I wtedy, i teraz.

Zbliża się ósma rano, a ja podjeżdżam pod komisariat. Znajduję miejsce parkingowe na uboczu, żeby przynajmniej zmniejszyć ryzyko uszkodzeń lakieru czy nawet wgniotek spowodowanych otwieranymi nieuważnie drzwiami innych aut. Po wyłączeniu silnika czekam jeszcze chwilę, bo z głośników płyną ostatnie tony *Music* Johna Milea. Wsiadam dopiero, kiedy utwór się kończy. Ciepły wiatr głaszcze mnie po twarzy, a na niebie nie widać ani jednej chmurki. Wszystko to zapowiada dobry początek tygodnia.

Niestety, przy samym wejściu spotykam Helmuta Vogelbuscha, który sprawia, że muszę zweryfikować swoje optymistyczne nastawienie. Vogelbusch ma około pięćdziesięciu lat i w gruncie rzeczy jest całkiem w porządku. Problemem jest jego silne pragnienie, by zmieniać nie tylko świat, ale i wszystkich jego mieszkańców, każdego z osobna. Pchać ich ku dobremu, rzecz jasna. Czy tego chcą, czy nie.

– Dzień dobry – wita mnie przyjaźnie uśmiechnięty, lecz spogląda przy tym krytycznie na moją koszulę, szyty na miarę garnitur i ręcznie robione buty, a ja przeczuwam, że zaraz się dowiem, co o tym myśli. Helmut kupuje ubrania jedynie w sklepach oferujących rzeczy w pełni ekologiczne i wyprodukowane zgodnie z zasadami sprawiedliwego handlu. Każdy to wie.

Jednak tego ranka oszczędza sobie komentarza na temat mojej garderoby. Zamiast tego przenosi wzrok nieco na bok i spogląda na parking za moimi plecami. Znów wiem, czego mogę się spodziewać.

– Jak tam? Samochodem do pracy? Znowu wozisz powietrze?

– A tobie jak minął weekend? – staram się zignorować jego pytanie i w naturalny sposób zmienić temat na jakiś neutralny.

– Zdajesz sobie sprawę, że tylko jedna czwarta samochodów jeżdżących po ulicach odpowiada za dziewięćdziesiąt procent zanieczyszczenia spalinami?

Razem wchodzimy do holu komisariatu.

– Tak, coś mi się obilo o uszy... – zacynam, lecz Vogelbusch nie daje się zwięść ani zagadać.

– Niewielka część wszystkich pojazdów silnikowych jest odpowiedzialna za dziewięćdziesiąt trzy procent emisji tlenu węgla i siedemdziesiąt sześć procent emisji zanieczyszczeń organicznych takich jak benzol. Ty chyba jeszcze cały czas jeździsz tym przedpotopowym złomem, prawda? Co to konkretnie jest? Przypomnisz mi?

Mam ochotę westchnąć, lecz niczego nie damę po sobie poznać.

– Jaguar E-type i co do jednego pełna zgoda: jest stary. Ale w żadnym razie nie nazwałbym go złomem – bronię się.

Mimo że to rzeczywiście złom. Tak, wiem. Jednak poruszenie tematu zużycia paliwa byłoby w przypadku tego auta równoznaczne z bluźnierstwem.

Docieramy do wind. Czekamy. Vogelbusch nic więcej nie mówi, ale sposób, w jaki na mnie patrzy, kręcąc przy tym głową... Jego spojrzenie, które waha się między współczuciem a osłupieniem, bardziej mnie dotyka niż jakikolwiek komentarz.

Nareszcie jedna z kabin jest wolna. Vogelbusch wybiera trzecie piętro, po czym stajemy obok siebie i spoglądamy na podłogę.

Kiedy winda się zatrzymuje, wysiadamy i żegnamy się skinieniem głów. Odwracam się i czuję ulgę, bo mam nadzieję, że już nic mi nie grozi, lecz w tym momencie słyszę jeszcze:

– Doczytaj sobie po prostu o swoim węglowym odcisku palca.

W końcu udajemy się do swoich biur.

Wypieram go z myśli, włączam komputer i spoglądam na zegarek. Piętnaście po ósmej. Za kwadrans rozpocznie się cotygodniowa

odprawa w LKA 4 – wydziale do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu.

Komunikat na ekranie informuje o ładowaniu się systemu, a ja spoglądam na puste biurko naprzeciwko. Dziś po raz pierwszy ma pojawić się moja nowa partnerka. Jestem jej bardzo ciekaw, choć niewiele o niej wiem. W zasadzie chyba tylko tyle, że jest jeszcze bardzo młoda.

– Buchholz?

Podnoszę wzrok. W progu stoi moja szefowa, nadkomisarz Magdalena Arendt.

Jeszcze z korytarza głośno wywołuje nazwiska tych, z którymi chce rozmawiać. To typowe dla niej. W głosie przełożonej słyszę lekki wyrzut, nutkę, która sprawia, że nawet to jedno słowo brzmi tak, jakby mnie o coś oskarżała.

A wiem przy tym, że darzy mnie sympatią. Choć może nie tyle mnie, ile raczej sposób, w jaki pracuję.

– Jest pan idealnie o czasie. Mamy zwłoki na Peutestrasse. Dokładniej mówiąc, jest to teren jakiejś starej fabryki tuż przy kanale Hovekanal. Prewencja jest już na miejscu. Niech pan zgarnie kogoś do pomocy i rusza na miejsce. Ja zaraz dołączę. No, do roboty.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o dobry początek tygodnia. Wstaję zza biurka.

– Co powinienem wiedzieć?

– Anonimowa informacja o zwłokach dotarła do nas telefonicznie. I to nie jeden raz.

– Jak to nie jeden raz? To jakieś popularne miejsce? Dużo ludzi tamtędy chodzi?

– Nie. Dzwoniący mówili coś o jakimś forum internetowym, na którym ktoś opublikował post z informacją na temat zwłok.

– Forum internetowe. – Nie wierzę własnym uszom. – Chce pani powiedzieć, że ktoś znalazł martwego człowieka i zamiast wezwać policję, napisał o tym na jakimś forum w sieci?

Arendt kręci głową.

– Z tego, co wiem, wyglądało to raczej tak, jakby się chwalił, że go zabił. Koledzy z IT już nad tym pracują. No. Ruszamy, nie ma co marnować czasu.

Idę za Arendt. Przy jednym z biurków widzę Christopha Janninga. Świetnie się składa.

– Chodź ze mną – mówię. – Szkoda marnować taką pogodę na siedzenie w biurze.

Christoph prowadzi pewnie i zna miasto, ale mimo sygnałów świetlnych i dźwiękowych dotarcie na miejsce zajmuje nam bite dwadzieścia minut.

Przy wjeździe na teren dawnej fabryki stoi umundurowany policjant. Gestem wpuszcza nas do środka, a kiedy go mijamy, z kamienną miną wita nas skinieniem głowy.

Podłużny ceglany budynek sprawia ponure wrażenie, a ciemne, pozbawione szyb otwory okienne pogłębiają te odczucia. Nieco dalej, z tyłu, widać ciemną wodę w kanale Hovekanal.

Jedziemy gruntową, błotnistą drogą w kierunku trójki umundurowanych funkcjonariuszy, dwóch mężczyzn i kobiety. Czekają na nas na skraju terenu odgrodzonego biało-czerwoną taśmą. Pośrodku niego pracują ubrani w białe jednorazowe kombinezony technicy kryminalistyki i zabezpieczają ślady. Jeden z nich oraz medyk sądowy kucają obok leżącego na ziemi ciała – potężnej góry tłuszczu odzianej w ciemny garnitur. Wsiadamy i wkładamy identyczne białe kombinezony. Ubrani w nie przechodzimy pod plastikową taśmą.

Denat leży przed szpalerem wysokich krzewów bambusa, za którymi teren opada stromo w stronę kanału. Obok zwał żwiru znajduje się stos ułożonej kostki brukowej. Duże, ciemne plamy zaschniętej krwi upstrzone połyskującymi okruchami szkła wyglądają tak, jakby ktoś celowo umieścił je dookoła ciała.

Doktora Diewalda witam skinieniem głowy, kiedy tylko unosi wzrok.

– Dzień dobry. Ma pan już coś dla nas?

– Dobry. – Wskazuje brodą na głowę denata. Jego martwa, rozcięta skóra warg i policzków rozchodzi się tak szeroko, że widać wnętrze ust. Dolną część twarzy pokrywa warstwa zaschniętej krwi.

– Ma jamę ustną pełną kawałków potłuczonego szkła. Drobnych, ostrych i cienkich, jakby z kieliszków do wina. Może po sekcji będę mógł ustalić to dokładnie.

Przez dwie, może trzy sekundy przygląda się nalanej, miękkiej twarzy.

– Wiele wskazuje na to, że sporą część szkła zdążył wcześniej połknąć. W takim przypadku ostre krawędzie musiały ciężko poranić wnętrza policzków, gardło i przełyk.

Dłonią wskazuje na plamy przy ciele.

– Jak patrzę na tę jatkę tutaj... musiał zwymiotować kilka razy z rzędu. Wykrwawił się, najpierw wewnątrz, potem na zewnątrz. Ale to nie jest normalne. Nawet gdyby założyć, że pokaleczył się kawałkami szkła... i tak nie da się wytłumaczyć aż takiej utraty krwi. Możliwe, że wziął jakieś leki obniżające krzepliwość.

Mężczyzna leży twarzą do góry i plecami przygniata do ziemi ramiona. Pozbawione wyrazu oczy skierowane są w niebo. Kompletnie przemoknięta koszula opina się na potężnych zwałach tłuszczu formujących się od klatki piersiowej do bioder. Napór otyłego ciała urwał dwa guziki i ciemny materiał rozchodzi się na boki jak szeroka rana cięta. Widać pod nią skórę, całą umazaną krwią, która jedynie w okolicach wypchniętego na zewnątrz otłuszczonego pępka błyszczący jak żółty ser. Krawat zsunął się na bok i wisi spod podwójnego podbródka. Dolna część materiału leży w kałuży zaschniętej krwi.

– Jak można kogoś zmusić, żeby połknął kawałki szkła? – pytam.

Medyk sądowy wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może ktoś zatkał mu nos i kiedy nabierał powietrza ustami... to by wystarczyło. Ustalimy to dokładniej w czasie sekcji zwłok.

– Gość nazwa się Michael Kornmeier, jest adwokatem i mieszka w Eppendorfie – wyjaśnia jeden z techników zabezpieczających ślady. – W wewnętrznej kieszeni marynarki miał portfel z dowodem osobistym. I trzystoma euro w gotówce.

– Rodzina?

– Sprawdzamy.

– Ręce ma związane na plecach?

– Tak, opaskami zaciskowymi.

Potakuję i wracam do rozmowy z lekarzem.

– Potrafi pan określić czas zgonu?

– Chyba pan wie, jak niedokładne są takie wstępne szacunki, ale obstawiałbym, że między północą a czwartą nad ranem.

Przyglądam się zwalitemu cielsku i zastanawiam, czy sposób śmierci tego człowieka może wiązać się jakoś z jego tuszą.

Diewald podnosi się i wskazuje na zwłoki.

– Musiał nieludzko cierpieć, bo ktokolwiek mu to zrobił, w ogóle się nie spieszył. Przesrane, żeby tak odejść.

Słyszę szum zbliżającego się samochodu i odwracam głowę. Szara bmw piątka. Moja szefowa.

Dopiero kiedy się zatrzymuje, dostrzegam jeszcze jedną osobę na miejscu pasażera. Otwierają się drzwi po obu stronach auta. Ze środka wysiada Arendt i jakaś młoda kobieta. Ma najwyżej trzydzieści, może trzydzieści kilka lat i kasztanowe włosy, które nosi spięte w niedbały kok. Idąc w ich stronę, przyglądam się nieznajomej dokładnie. Nosi legginsy wiernie oddające kształt jej ciała i równie dopasowaną koszulkę na ramiączkach, na której w okolicach pach zaznaczają się wyraźnie ciemne plamy potu. Wzdrygam się. Na nogach ma brudne buty do biegania i ogólnie nie prezentuje się



jak ktoś, obok kogo chciałbym stanąć. Jeden z techników podaje jej kombinezon, który wkłada szybkimi, wprawnymi ruchami. Żywię wielką nadzieję, że to nie jest moja nowa partnerka. Arendt rzuca szybkie spojrzenie na denata za moimi plecami i dopiero wita się ze mną.

– To komisarz...

– Nina Salomon – kobieta wchodzi jej w słowo i podaje mi dłoń. Spojrzenie, jakim mnie taksuje, przypomina mi sposób patrzenia Vogelbuscha: jest pełne wyrzutu i nieco pogardliwe.

Odsuwam od siebie te myśli i chwytam jej dłoń. Jak na kobietę ma zaskakująco mocny uścisk.

– Prosto z treningu? – pytam i wskazuję głową na kombinezon, pod którym ukryła przepocone ubranie.

– Tak. – Znów to spojrzenie. – A pan? Prosto z zakupów?

Uuu! Jeszcze dobrze się przywitała, a już zaczyna od bezczelności! Czuję, że nasza współpraca może być burzliwa. Ukradkiem wycieram dłoń w płaszcz.

– Cieszę się, że od razu przypadliście sobie do gustu – mówi Arendt i głową wskazuje na zwłoki. – Koleżanka Salomon była akurat w trakcie treningu, kiedy zadzwoniłam i podjechałam, żeby ją podwieźć, ale bardzo mi zależało, żebyście nad pierwszą wspólną sprawą od samego początku pracowali razem. No dobrze, to do rzeczy. Co my tu mamy?

Staram się nie myśleć o zarozumiałym spojrzeniu, jakim Nina Salomon patrzy mi prosto w oczy. Nie, zarozumiało to złe słowo. Bezczelne byłoby lepsze. To dokładnie...

– Buchholz?

– A... tak. Już. – Odwracam się w kierunku szefowej, porządkuję myśli i w kilku słowach zdaję pierwszy raport. Kątem oka widzę, że Salomon uśmiecha się szyderczo, a potem mijają mnie i rusza w stronę denata.

– Jeszcze jedna sprawa: to nie był napad rabunkowy – kończę pospiesznie. – W marynarce miał portfel, a w nim ponad trzysta euro.

Potem odwracam się i doganiam Salomon, która zdążyła podejść do zwłok i przykucnąć obok.

– Znajdą się jakieś rękawiczki dla mnie? – pyta jednego z techników.

Mężczyzna potakuje gorliwie i wyjmuje z kombinezonu cienkie jednorazowe rękawiczki. Kusi mnie, żeby zapytać Salomon, co planuje, jednak się powstrzymuję. Kiedy jest już gotowa, chwyta denata za lewe ramię i z zaskakującą lekkością przechyla go na bok.

Przez kilka sekund przygląda się spętanym za plecami dłoniom, a potem opuszcza ciężkie zwłoki na miejsce.

– Czy choćby przez chwilę przemknęło pani przez myśl, że technicy mogli jeszcze nie skończyć zabezpieczać śladów, a pani je właśnie zniszczyła? – pytam zdenerwowany lekkomyślnością, z jaką ta młoda kobieta postępuje.

– Oczywiście, dlatego zapytałam o to, kiedy pan grzecznie składał raporty.

– Wie pani co... – Jestem blisko wybuchu, ale opanowuję złość i zmuszam się do spokoju. – No dobrze, to może mi pani zdradzi, co pani osiągnęła tą spektakularną akcją? Udało się pani ustalić, że ofiara ma związane ręce? Mogła się pani tego dowiedzieć ode mnie na przykład. Tylko że to wymagałoby postawienia pytania, zanim rzuciła się pani do potrząsania denatem.

– Przede wszystkim udało mi się ustalić, że ten człowiek został zamordowany.

– Doprawdy?

Podnosi się i robi krok w moją stronę. Nasze twarze dzieli ledwie kilkadziesiąt centymetrów. Powoli zsuwa rękawiczki z palców.

– Doprawdy. W moim dotychczasowym miejscu pracy mieliśmy sprawę, w której facet próbował upozorować morderstwo, bo jego polisa ubezpieczeniowa nie obejmowała samobójstw. Sam związał sobie

ręce na plecach. Ustaliliśmy to dzięki temu, że z racji ograniczonej swobody ruchów nie był w stanie zaciągnąć opasek zaciskowych tak mocno, jak zrobiłby to ktoś inny.

Robi przerwę i milczy przez kilka sekund.

– Tutaj opaski są tak ciasne – kontynuuje – że dosłownie wrzynają się w ciało ofiary. Sam sobie ich tak nie zaciągnął. Ale po co ja to mówię, ze swoim doświadczeniem musiał pan to wiedzieć od samego początku. Następnym razem zapytam zamiast sprawdzać.

Odwraca się i rusza w stronę lekarza sądowego, który kilka metrów od nas robi zdjęcia.

Po dwóch krokach zatrzymuje się jednak i odwraca w moim kierunku.

– Tak przy okazji... już się cieszę na naszą współpracę.